24 Komu 1 proc. – nasze podpowiedzi

44 Remanent u oligarchów

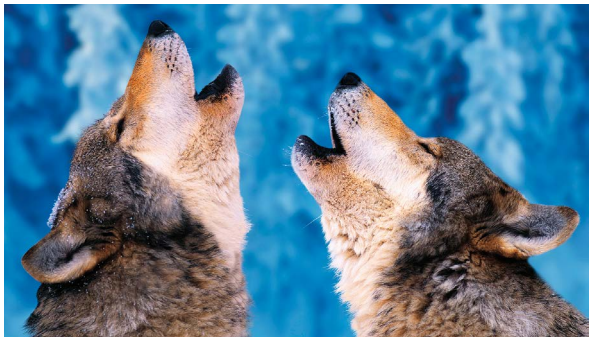

60 Walka o wilki

70 Rezydencje biskupów

TEMATY TYGODNIA

12 Jacek Żakowski **Poglądy Polaków: pomieszanie z poplątaniem**
16 Marcin Rotkiewicz **Filmy pseudodokumentalne**
19 Paweł Artymowicz **Analiza dźwiękowa smoleńskiej katastrofy**

KRAJ

24 Ryszarda Socha **Kwietniowy zryw charytatywny**
28 Ryszarda Socha **Bezrobotni boją się pracy**
30 Piotr Pytlakowski **Film Bugajskiego – scenariusz niestety z życia wzięty**
34 Marta Mazuś **Oskarżone o gwałt na dziecku i skazane. Ale czy winne?**

RYNEK

36 Joanna Solska **Kto nam wypłaci emerytury**
39 Marek Henzler **GUS pod lupą**
42 Urszula Szyperska **Czy warto inwestować w ziemię**

ŚWIAT

44 Katarzyna Kwiatkowska ROSJA **Państwowi oligarchowie**
48 Łukasz Wójcik IRAK **10 lat po inwazji**
52 Filip Gańczak NIEMCY **Ile C w CDU?**

HISTORIA

56 Jarosław Pałka **1943 – polscy oficerowie w Katyniu**
58 Wiesław Władyka **Interesujące podsumowania III RP**

NAUKA

60 Eugeniusz Pudlis **Za dużo wilków?**
63 Edwin Bendyk **Kto dziś ma władzę**

KULTURA

70 Piotr Sarzyński **Jak mieszkają polscy biskupi**
74 Aneta Kyzioł **Hannibal i inni – telewizyjna walka na seriale**
76 Justyna Sobolewska **Bolaño życie po życiu**
78 Mariusz Herma **Branża muzyczna odbiła się od dna**
80 Adam Krzemiński **Niemcy śmieją się z Hitlera**
82 KAWIARNIA LITERACKA **Szczepan Twardoch**
83 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

LUDZIE I STYLE

84 Agnieszka Mazurczyk **Co wyraża broda**
87 Olaf Szewczyk **Konsole dla aktywnych**
90 Marek Ostrowski **Uczmy się od dzikich! – radzi Jared Diamond**
92 Jarek Szubrycht **Słowiański rap Donatana**

NA WŁASNE OCZY

100 Dariusz Koźlenko, fotografie Adam Lach **Życie w cieniu autostrady**

STAŁE RUBRYKI

• **4** Mleczko i Mizerski • **6** Ludzie i wydarzenia • **66** Afisz • **94** Hartman • **96** Passent • **97** Tym • **98** Do i od redakcji, Fusy • **106** Polityka i obyczaje

COPYRIGHT © POLITYKA Spółka z o.o. SKA (dawniej POLITYKA Spółdzielnia Pracy). Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne, opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

andrzej mleczko

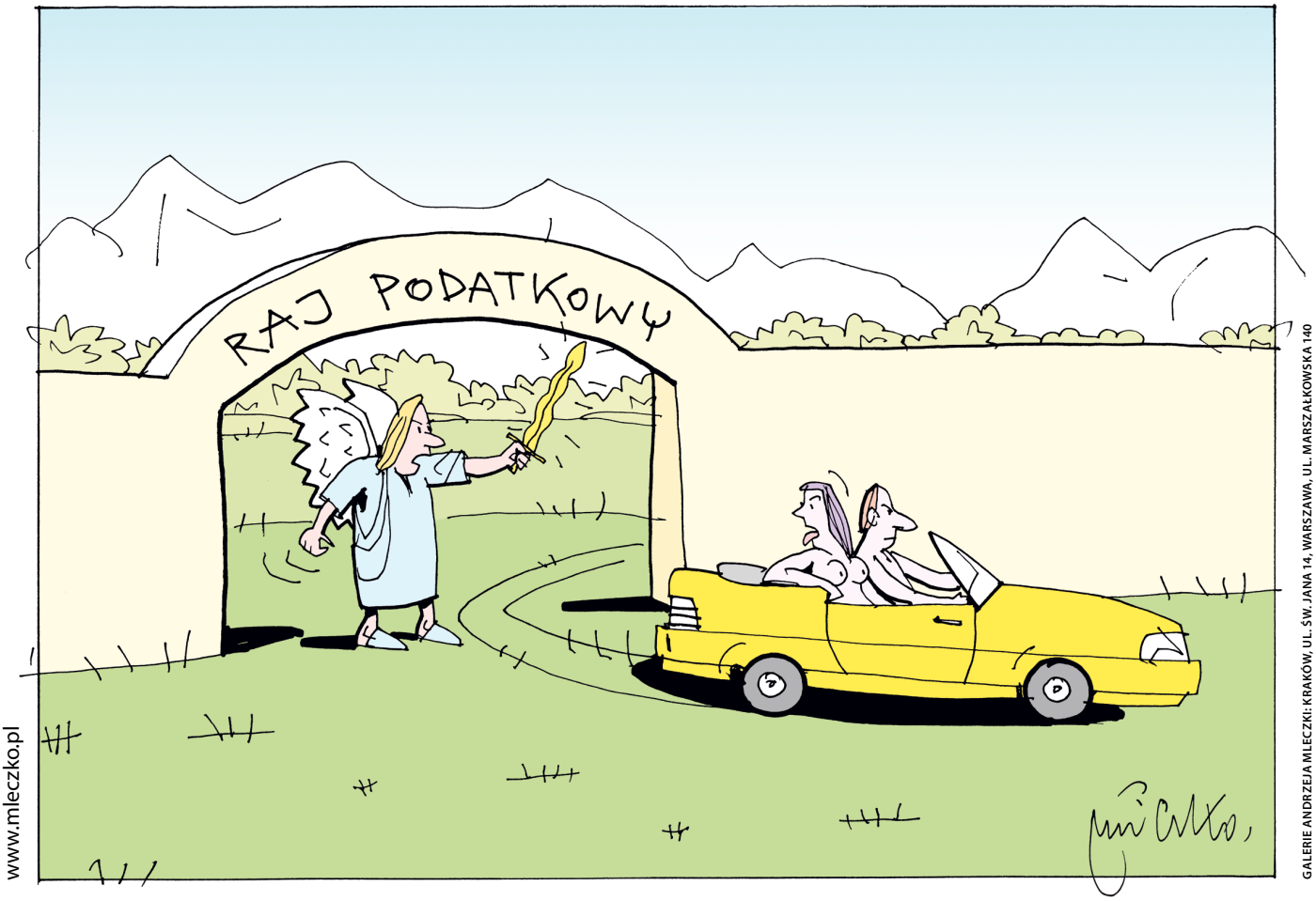

www.mleczko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

sławomir mizerski z życia sfer

felieton

Cha cha cha

Ostatnio jednym z częściej używanych w polskich mediach słów jest słowo na cha. Publicyści, nawet katoliccy, z przykrością odnotowują, że ma to niestety związek z wyborem nowego papieża. Cha, mimo że energicznie wykropkowywane i wypikiwane, wciska się do dzienników informacyjnych, felietonów i programów telewizji śniadaniowej oraz zapładnia wyobraźnię niektórych polityków, zarówno wierzących, niewierzących, jak i tych o jeszcze innej orientacji.

Jako pierwsza w wysokie cha uderzyła artystka Ewa Wójciak, dyrektorka Teatru Ósmego Dnia, nazywając nim papieża Franciszka z dalekiej Argentyny. Dziś tłumaczy, że cha w jej ustach było jak najbardziej uzasadnione tym, że swego czasu była w Argentynie, gdzie zapoznała się z bestialstwem tamtejszej junty i współpracujących z nią biskupów, w tym aktualnego papieża.

Trwa dyskusja, czy Ewa Wójciak, jako osoba kierująca placówką dotowaną przez państwo, mogła czy nie mogła cha w Internecie użyć? Zdaniem jednych nie mogła, gdyż swoim cha dotknęła i uraziła osoby wierzące, dla których papież jest osobą świętą i zastępcą Chrystusa na Ziemi. Z kolei zdaniem innych nie mogła, gdyż użycie cha w przestrzeni publicznej jest okropnie wulgarne, ale ponieważ użyła, to trudno, niech się wstydzi.

Natomiast zdaniem jeszcze innych, Wójciak mogła cha użyć, gdyż jest emocjonalną kobietą i bezkompromisową artystką zaszokowaną wyborem Franciszka na głowę Kościoła, czemu po prostu dała stosowny wyraz. Zresztą wyskoczyła z tym cha wcale nie w przestrzeni publicznej, a prywatnej (Facebook), w której swobodne użycie cha nie powinno nikogo oburzać.

Problem w tym, że cha, którym do niedawna publicznie najchętniej posługiwali się pisarze, performerzy, celebryci i reżyserzy w rodzaju Kazimierza Kutza, krąży teraz w tej przestrzeni, odbija się szerokim echem i ląduje na ustach polityków i komentatorów. Cha twardo stanęło również pomiędzy Ewą Wójciak a radnymi miasta Poznania, którzy chcą wyrzucić je z debaty publicznej, a Ewę Wójciak z posady dyrektorki stworzonego przez nią teatru. Z kolei środowiska intelektualne i artystyczne bronią Ewy Wójciak, twierdząc, że wolność ekspresji, nawet wulgarnej, jest święta. W opinii tych środowisk, wyrzucając Ewę Wójciak ze stanowiska, radni mogą okazać się większymi cha niż cha, które ujawniła artystka.

Biznes Pakiet
od 139 zł + VAT

sięgnij raz
zyskaj razy wiele

W Orange dla Firm wiemy, że nielimitowane połączenia i Internet bez limitu danych to podstawa w prowadzeniu firmy. Teraz w Biznes Pakiecie zmieściliśmy jeszcze więcej usług potrzebnych Tobie i Twoim pracownikom w codziennej pracy. Wybierz Biznes Pakiet w nowej, korzystnej cenie i prowadź swoją firmę bez ograniczeń. Chcesz wiedzieć więcej, zapytaj swojego Doradcę Orange lub zadzwoń pod numer 801 600 006.

Rozpoczęcie połączenia z Infolinią i każda kolejna minuta kosztują 0,25 zł z VAT. Regulamin i szczegóły oferty na **www.orange.pl**. Oferta Biznes Pakiet dostępna w ramach pilotażu komercyjnego do 30.04.2013 r. Nielimitowane połączenia stacjonarne i komórkowe dostępne w ofercie od 184 zł + VAT. Dostawcą usług jest TP SA.

biznes zmienia się z orange™

© ADAM BRZOZA/FOTONOVA

Premier chce igrzysk

Projekt organizacji zimowych igrzysk olimpijskich w 2022 r. na południu Polski, z sąsiedzką pomocą Słowaków, którzy mają góry dość wysokie, by przeprowadzić konkurencje alpejskie, zyskał nowy wymiar. Wystarczyło poparcie inicjatywy przez premierów obu krajów, Donalda Tuska i Roberta Fico, by z fatamorgany stała się ona sprawą narodową. Polityczne wsparcie ma zrobić wrażenie na członkach Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, którzy wybiorą gospodarza igrzysk w lipcu 2015 r. Za rok, w marcu 2014 r., upływa termin składania do MKOl wniosku wraz z gwarancjami rządowymi na finansowanie nie tylko samej organizacji imprezy, ale również budowy niezbędnej infrastruktury.

Jeśli chodzi o Polskę, budować jest co. Z obiektów potrzebnych na igrzyska gotowy jest tylko stadion krakowskiej Wisły, gdzie planowana jest ceremonia otwarcia, oraz **duża skocznia w Zakopanem** (średnia nie spełnia aktualnych wymogów). Niezależnie od planów olimpijskich w przyszłym roku w Krakowie zostanie oddana do użytku największa hala widowiskowo-sportowa w Polsce, o pojemności 18 tys. widzów. Miałyby tu się odbyć zawody w łyżwiarstwie figurowym oraz short-tracku. Konieczne jest zbudowanie hal do łyżwiarstwa szybkiego i curlingu oraz modernizacja obiektów do hokeja w Oświęcimiu i w Katowicach. Część organizacji turnieju hokejowego chętnie wezmą na siebie Słowacy, bo to ich sport narodowy.

Zawody w biegach narciarskich, biatlonie i snowboardzie planowane są w Zakopanem i okolicach. Wszędzie potrzeba dostosowania istniejących tras do olimpijskich wymagań, ale np. w Zakopanem opornie idzie wykup gruntów od prywatnych właścicieli. Największy problem jest z torem saneczkowo-bobslejowym. Wstępne szacunki mówią, że może kosztować ok. 150–200 mln zł. Biorąc pod uwagę to, że stadiony wybudowane na Euro przynoszą straty, trudno wierzyć, że taki tor na siebie zarobi. Poza tym są kłopoty z lokalizacją. Polski Związek Sportów Saneczkowych oraz Polski Komitet Olimpijski poparły wstępnie budowę toru w Arłamowie (w Bieszczadach), który miałby zostać sfinansowany do spółki ze środków publicznych oraz prywatnych.

Inwestycja jest na etapie uzgodnień projektowych, ale jej sens stanął teraz pod znakiem zapytania. Ze stolicy Małopolski do Arłamowa jest bowiem ponad 250 km, a nadmierne rozproszenie olimpijskich obiektów już jest wadą polsko-słowackiej kandydatury. Jako alternatywę proponuje się więc budowę toru w Myślenicach.

Na potrzeby igrzysk konieczna byłaby również rewizja planów dotyczących sieci drogowej. Jako nieaktualną należałoby więc traktować wypowiedź ministra transportu Sławomira Nowaka, że trzeba wybierać między modernizacją zakopianki a ukończeniem obwodnicy Krakowa. Aby myśleć o igrzyskach, obie inwestycje są niezbędne.

Według szacunków zwolenników kandydatury Krakowa i okolic wydatki na infrastrukturę sportową pochłoną co najmniej 1,2 mld zł, a organizacja będzie kosztowała kolejne 5,5 mld. Nie wiadomo, skąd się te sumy wzięły, bo np. rachunek, jaki za ostatnie zimowe igrzyska zapłaciło lepiej rozwinięte Vancouver, opiewał na 6 mld dol., a sama ochrona kosztowała miliard.

Przeciwnicy organizacji igrzysk w polskich i słowackich Tatrach pocieszają się, że jeszcze nigdy w historii nie zdarzyło się, by rolę gospodarzy podzielić między dwa kraje. Najpoważniejszymi kandydatami w wyścigu o igrzyska 2022 r. są jak dotąd Oslo i Monachium. **(M.P.)**

Duży kłopot z małym litrażem

Dotychczas skuterem o pojemności silnika do 50 cm sześc. mógł jeździć właściwie każdy. Wystarczyło, że skończył 14 lat, miał kartę rowerową i nie zapomniał założyć kasku. Przepisy od lat krytykowano jako zbyt liberalne i niebezpieczne dla najmłodszych użytkowników. Był to jeden z czołowych argumentów za stworzeniem nowej Ustawy o kierujących pojazdami. Pracę nad dokumentem rozpoczął jeszcze rząd Leszka Millera. Remedium na nieograniczony dostęp młodych do skuterów miało być wprowadzenie nowej kategorii prawa jazdy na motorower – AM. Kurs miał być skrócony, a egzamin uproszczony.

Ale w toku 10-letnich prac dobre pomysły udało się zmienić na zbyt dobre. Kurs jest skrócony do 10 godzin. Ale materiał i egzamin jest niemal taki sam jak dla zdających na prawo jazdy na motor. Mało tego, nie wiadomo, czy w ogóle uda się komukolwiek zdobyć tę kategorię.

– *Ustawa wyraźnie mówi, kto ma uprawnienia do egzaminowania, ale zniknął zapis o tym, kto ma uprawnienia do szkolenia* – mówi Tadeusz Sobotka, instruktor z 32-letnim stażem. Rzecznik Ministerstwa Transportu Mikołaj Karpiński twierdzi, że przepisy trzeba brać na logikę: – *Instruktorzy, którzy mieli uprawnienia do szkolenia na kategorię A, mają automatycznie uprawnienia do szkolenia na kategorię AM*. W zeszłym tygodniu resort wydał nawet oświadczenie w tej sprawie. Ale szkoleniowcy twierdzą, że to stanowienie prawa na powielaczu. – *Część praktyczną ćwiczy się normalnie w ruchu drogowym. Jeśli wydarzy się wypadek, to prokurator może słusznie kwestionować moje prawo do szkolenia, bo ustawa jest po prostu niedopracowana* – upiera się Sobotka. Podobne wątpliwości mają również niektórzy starostowie, którzy nadzorują ośrodki szkolenia kierowców.

W 2012 r. zarejestrowano w Polsce 78 136 nowych i używanych skuterów. To o 14 proc. mniej niż rok wcześniej. Ten rok zdaniem branży będzie jeszcze gorszy. **(Jull)**

© EAST NEWS

Seria bolesnych pytań

Czyim ministrem jest Sikorski? – to pytanie nęka Jarosława Kaczyńskiego od dawna – i od czasu do czasu daje temu publicznie wyraz. Zawiesza przy tym głos, sugerując, że coś wie, ale pełne wyjaśnienie sprawy odkłada na później. Odpowiedź poznamy pewnie, kiedy już dojdzie do władzy (brakuje mu jeszcze 8–9 proc. poparcia, a więc jest blisko) i będzie mógł odsłonić jakieś sekretne tajemnice. Na razie przed 10 kwietnia prezes musi przygotować przynajmniej dwa ważne wystąpienia i to mocne. To jest zadanie dość trudne, padło bowiem już tyle słów mocnych i gniewnych, że trzeba będzie mocno pomyśleć, by jeszcze bardziej zadziwić.

Ciekawe, czy prezesa dręczy pytanie, dokąd tak naprawdę zmierza szef Solidarności Piotr Duda. Bo chyba powinno zacząć go dręczyć. Nic nie wskazuje na to, że Duda jest marionetką Kaczyńskiego. On najwyraźniej gra swoją własną grę. Wprawdzie próba generalna strajku powszechnego na Śląsku wypadła raczej marnie, ale tym bardziej powinien się starać. Zwłaszcza że grono tych, którzy widzą w nim przyszłego lidera prawicy, wcale nie maleje. Na razie Duda może być pomocnikiem w obalaniu rządu Tuska, ale prezesowi lata jednak lecą, a szef Solidarności ciągle ma bardzo dużo czasu. Prezesa dręczyć też powinno pytanie, dlaczego, skoro jest niekwestionowanym liderem znacznej, a nawet przeważającej części prawicy, duża część tejże prawicy, w tym również osoby z jego otoczenia i formalnie go wspierające, „modlą się do Pana, aby zesłał nam Orbána". Hasło to pojawia się coraz częściej, by nie powiedzieć – nachalniej. Na Węgry jeżdżą prawicowe pielgrzymki, nie zważając na trudy podróży w nieludzkich warunkach, jakie szykuje im rząd Tuska, w ramach ogólnego szykanowania prawicy. Czyżby w prezesie Kaczyńskim polskiego Orbána już nie widzieli i coraz jawniej czekają na jego zmierzch? Oznaczałoby to, że sytuacja staje się niebezpieczna i koniecznie trzeba jednak wygrać jakieś wybory.

Dręczących pytań jest więcej. Dokąd zmierza Jarosław Gowin triumfujący – wydaje się, że jednak przesadnie i zbyt widowiskowo – po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego, które przyznało mu rację w sprawie przekształcenia blisko 80 sądów? Gowin znalazł się w sporze praktycznie ze wszystkimi partiami politycznymi, także z częścią własnej partii, zaniepokojonej, że przed wyborami samorządowymi zadzieranie z władzami powiatów może skończyć się nie najlepiej, czyli stratą pokaźnej liczby głosów. W ostatecznym rachunku bój o małe sądy jest bowiem bojem politycznym o głosy prowincji. Zrozumiałe, że korzystając z okazji, pospiesznie odbudowuje swoją pozycję polityczną, nadszarpniętą w sporze o projekt ustawy o związkach partnerskich. Czy zmierza jednak również do mnożenia wewnętrznych konfliktów w PO, by patrzeć, jak autorytet premiera zużywa się w rozwiązywaniu sporów we własnej partii? Czy robi wszystko, aby jednak premier zrezygnował z jego ministerialnych usług i otworzył mu drogę do jeszcze bardziej samodzielnego politycznego istnienia?

Platformy Gowin nie podzieli, własnej partii nie założy, szefem Platformy też nie zostanie, ale problemy może mnożyć. Czy koalicyjne też? Gowin był jednym z pierwszych polityków Platformy, którzy postawili na koalicję z PSL, i on też stał się obecnie największym tej koalicji kłopotem. Ludowcy w obronę każdego sądu zabrnęli tak daleko, że praktycznie nie mają drogi odwrotu. Gowin zapowiada jeszcze większą determinację w reformowaniu.

Zmiany w sądownictwie są konieczne, w tym sporze od początku racja formalna była po stronie ministra sprawiedliwości, ale oprócz niej są jeszcze racje polityczne i społeczne. W pełni zasadne jest pytanie, czy rzeczywiście należało zmiany w sądach zaczynać od końca? Wiadomo przecież, że największym problemem nie są sądy najmniejsze, ale te największe, a tu dotychczas takiej determinacji nie było widać.

Gowin wziął pomysł od dawna leżący w ministerstwie, bo chciał mieć szybko sukces. I teraz niby go ma, ale ma też przeciwko sobie znaczną część środowiska sędziowskiego, elit samorządowych, a w Sejmie gotową do uchwalenia ustawę, która może stać się nieszczęściem tegoż sądownictwa. Ustawowe wskazanie, gdzie mają mieć siedziby poszczególne sądy rejonowe, jest tak absurdalne, że jeśli ubocznym efektem triumfu Gowina będzie uchwalenie takiego prawa, to lepiej, żeby już niczego nie dotykał, a cały reformatorski zapał skupił na przeprowadzeniu przez Sejm na przykład Kodeksu postępowania karnego. Wtedy będzie miał sukces prawdziwy.

Pod koniec tygodnia pojawiło się, za sprawą papieża Franciszka, pytanie, które powinno zacząć na serio dręczyć kościelnych hierarchów: czy nie zmienili się w „kolekcjonerów antyków", co wywołuje wręcz kryzys tożsamości kapłańskiej? To wielkiej wagi pytanie, zadawane w różnej formie i przez różne środowiska, pojawiało się już wcześniej i z reguły odbierano je jako atak na Kościół. Teraz zadaje je sam papież, który coraz wyżej podnosi poprzeczkę. Dla niektórych może nawet zbyt wysoko. No bo co to właściwie znaczy kolekcjoner antyków? O dobra doczesne tylko chodzi czy też zdecydowanie o coś więcej?

Jan Koza

© RIA NOVOSTI/EAST NEWS

Cerkiew się zastawi

Zwierzchnik cypryjskiej Cerkwi prawosławnej **arcybiskup Chryzostom II** zaoferował prezydentowi Nikosowi Anastasiadesowi, że dla ratowania kraju odda do dyspozycji cały kościelny majątek pod zastaw specjalnych obligacji, które wypuściłoby państwo dla ratowania budżetu. A na tej małej wyspie jest to majątek niemały, szacowany przynajmniej na 320 mln euro. Cerkiew jest tu największym posiadaczem ziemskim, ma udziały w branży turystycznej i licznych przedsiębiorstwach, w tym w Keo, największym lokalnym producencie piwa. Jest też większościowym udziałowcem w trzecim co do wielkości banku, Helliniki, akurat zdrowszym niż inne, bo nie zainwestował w chore greckie obligacje, za to na przykład umiejętnie rozwijał działalność w Rosji.

Chryzostom prowadzi niezwykle ożywione życie polityczne (co jest miejscową tradycją od czasów arcybiskupa Makariosa, pierwszego prezydenta niepodległego Cypru). W 2004 r. zdecydowanie opowiedział się przeciwko zjednoczeniu wyspy na drodze referendum, teraz ostro skrytykował plan opodatkowania lokat bankowych i opowiada się za stopniowym opuszczaniem strefy euro. Uważa też, że poprzedni rząd z prezydentem Dimitrisem Christofiasem powinien ponieść odpowiedzialność za doprowadzenie kraju do tak ciężkiego kryzysu. Na prośbę obecnego prezydenta, po linii cerkiewnej, pomagał niedawno w Moskwie w staraniach o nową rosyjską pożyczkę (oprócz już pożyczonych 2,5 mld euro). Jeszcze we wrześniu ub.r., na znak solidarności, kler obniżył sobie państwowe pensje o 25 proc. Te dożywotnie państwowe etaty to spadek po Makariosie, który w zamian za nie przekazał państwu 200 cerkiewnych hektarów. Jest publiczną tajemnicą, że nie wyszło ono najlepiej na tym interesie. Obecnie Cerkiew inwestuje w energię słoneczną, chce mieć udziały w wydobyciu ropy i gazu z nowo odkrytych bogatych źródeł. Chce też zbudować sieć luksusowych domów starców dla zasobnych Europejczyków – czemu nie mieliby to być Rosjanie?

Dobre rady dla Franciszka

Tym razem rady z wewnątrz Kościoła. Amerykański teolog i pisarz George Weigel, biograf Jana Pawła II, idzie po bandzie. Jego zdaniem, trzeba ukrócić wpływy włoskie w kurii rzymskiej. Chodzi o „włoskie" podejście do pracy, a nie o nację, bo w tym stylu działa w Watykanie wielu przedstawicieli innych narodów tam zatrudnionych. Centralna administracja kościelna to korporacja niewielka (około 2 tys. „zatrudnionych"), lecz drastycznie niewydolna. Zebrani na konklawe kardynałowie dużo o tym dyskutowali w kontekście afery Vatileaks.

A zatem, co robić? Weigel, kojarzony z kościelnym lobby na rzecz demokratycznego kapitalizmu za czasów Jana Pawła II, nie jest liberałem obyczajowym i nie takich zmian oczekuje po nowym papieżu. Ale jest Amerykaninem wychowanym w etosie ciężkiej i solidnej pracy. Nie powinno być tak, że kurialiści wychodzą z roboty wczesnym popołudniem, że nie ma regularnych spotkań szefów watykańskich „ministerstw" i urzędów, że nie odbywają się nawet robocze posiedzenia w kancelarii „premiera" (obecnie kard. Tarcisio Bertone, dość powszechnie obciążany w elicie kościelnej za złe zarządzanie). Należy wprowadzić 40-godzinny tydzień pracy, mocno przetasować załogę Piotrowej barki, stworzyć profesjonalny sztab papieski na wzór sztabu prezydenckiego, wymusić koordynację działań. Z tym wszystkim jednak, dodaje Weigel, nie można przesadzić. Dla teologa Watykan to nie tylko instytucja do zreformowania, lecz także instrument ewangelizacji świata. Jak kuria o tym zapomni, żadna reforma nie pomoże.

© REUTERS/FORUM

Nowa wielka piątka na spotkaniu w Durbanie

Znowu kolonie

Nowy chiński przywódca Xi Jinping wybrał się do Afryki. Odwiedził Kongo, Tanzanię i RPA, gdzie wziął udział w spotkaniu liderów tzw. BRICS, czyli Brazylii, Rosji, Indii, Chin i Afryki Południowej. Choć wspólnie reprezentują jedną czwartą światowej gospodarki i 40 proc. całej ludzkości, to szczyt BRICS nie przejdzie do historii (może poza sceną wyproszenia przez organizatorów ochroniarzy Władimira Putina). Zamiast tego świat podniósł alarm w kwestii nadmiernej obecności Chin w Afryce.

Od dobrych kilku lat to Państwo Środka jest głównym partnerem handlowym kontynentu. W zamian za surowce buduje drogi, koleje, szkoły, tamy, pałace prezydenckie i szpitale, w Addis Abebie za chińskie pieniądze i rękami chińskich robotników postawiono nawet siedzibę Unii Afrykańskiej. Afryka była zadowolona, bo Chiny – w przeciwieństwie do USA i Europy – nie żądały w zamian demokratycznych reform.

Teraz to się zmienia, a krytykowanie Chin staje się modne, są politycy, jak prezydent Zambii, którzy zbijają na tym wyborczy kapitał. Idzie o sprowadzenie milionów Chińczyków, zamiast miejscowych zatrudnianych na budowach i w kopalniach. Przyjezdni, jak kiedyś Europejczycy, też traktują Afrykanów z pogardą, chińskie projekty także niszczą środowisko. Afrykańsko-chiński miesiąc miodowy się skończył, mówią specjaliści. I dodają, że Afryka jest coraz bardziej świadoma zagrożeń neokolonialnego uzależnienia. Tym razem od Pekinu.

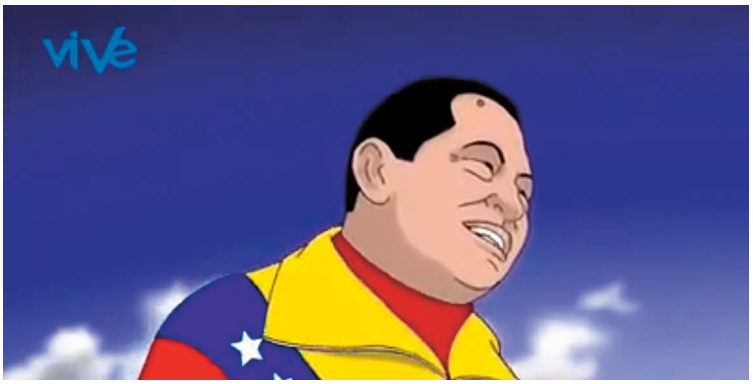

© AN

Chávez pilnuje z raju

Długi okres choroby i niepewne wiadomości z Kuby, gdzie odbywał leczenie, a później wielodniowa żałoba, rozciągnięte w czasie uroczystości pogrzebowe i ogrom ludzkich uczuć – wszystko to zbudowało wokół śmierci prezydenta Wenezueli klimat mistyczno-religijny. Nawiązuje do tych nastrojów **filmik animowany**, wyświetlany w telewizji publicznej, wspierający kampanię wyborczą Nicolasa Maduro, tymczasowego następcy Hugo Cháveza.

Oto *Comandante* trafia do raju. Przechadza się po bezkresnych zielonych łąkach, w ulubionych sandałach i słynnym dresie w barwach narodowych, aż dostrzega znajome postaci. Jest tu Evita Perón, Che Guevara, Salvador Allende, jest też oczywiście sam Simón Bolivar, którego prezydent wybrał za patrona swego ruchu. Zapraszają go do swego grona, a Chávez z uśmiechem się do nich przyłącza. Ale w ostatnich kadrach, na zbliżeniu, patrzy uważnie w oczy rodakom przed telewizorami, jakby chciał przypilnować, czy w wyborach wszyscy oddadzą głos na kogo trzeba, czyli na Maduro. Głosowanie 14 kwietnia.

Nocna zmiana rodzica

Trudno wskazać kraj, gdzie rodzice mają lepiej niż w Szwecji. Według rządowego raportu o tamtejszym rynku zatrudnienia, rekordowe 78 proc. kobiet, które mają dzieci do siódmego roku życia, pracuje. Na ten wynik składa się kilka szwedzkich okoliczności. Każdy mały Szwed ma zagwarantowane miejsce w przedszkolu, a rodzice nie płacą za to więcej niż 3 proc. miesięcznej pensji – szwedzkie państwo wydaje na ten system więcej niż na armię. Pomagają też godziny otwarcia żłobków – standardowo od godz. 6 do 18. Poza tym rodzice na każde dziecko mają do wykorzystania 16 miesięcy płatnego urlopu, przy czym przez pierwsze 13 miesięcy otrzymują co najmniej 80 proc. ostatnich zarobków. Mało? Państwo dokłada im jeszcze w przeliczeniu ponad 500 zł miesięcznie na każde dziecko.

Według wspomnianego raportu kluczem do tak wysokiego poziomu zatrudniania młodych matek okazały się jednak nocne żłobki. W ostatnich latach zafundowało je sobie aż 123 z 290 szwedzkich gmin. Nocne żłobki to oferta dla rodziców, którzy pracują w nietypowych godzinach, na przykład w transporcie lub hotelarstwie, a takich pracowników w Szwecji przybywa. Jeśli rodzic przyniesie zaświadczenie od pracodawcy o nietypowych godzinach pracy, może dziecko zostawić w nocnym żłobku nawet na kilkanaście godzin. Samorządy i rodzice są zachwyceni, dzieci głosu nie mają.

Zapomniany dżihad

Na głębokie południe Tajlandii turyści docierają rzadko, dlatego o tamtejszym krwawym konflikcie wiemy niewiele. Trwa od dekady i pochłonął już ponad 5 tys. ofiar. Muzułmańscy rebelianci atakują rząd, który nie jest w stanie ani całkowicie stłumić powstania, ani zacząć z rebeliantami poważnych rokowań pokojowych na temat rozwiązania lub przynajmniej złagodzenia konfliktu. Ale separatystyczne hasła powstańcze nawet buddystów z Bangkoku do poważnych rozmów nie zachęcają, choć właśnie pod koniec marca władze tajskie podjęły kolejną próbę negocjacji na terenie Malezji, gdzie część powstańców ma bazy wypadowe. Nie wszyscy rebelianci są dżihadystami, walczącymi o niezależny islamski emirat. Niektórzy poprzestaliby na znacznie większej autonomii, wycofaniu wojsk rządowych, wypuszczeniu ich bojowników z więzień. Ale odłam umiarkowany traci kontrolę nad młodszym, bardziej zdeterminowanym pokoleniem, a to stawia pod wielkim znakiem zapytania warunek wstępny ugody, czyli zaprzestanie przelewu krwi, zwłaszcza ludności cywilnej. Problem z muzułmanami ma też sąsiadująca z Tajlandią Birma. Kraj się demokratycznie reformuje, ale znów dochodzi w nim do przemocy – często z podtekstem etnicznym – wymierzonej w wyznawców islamu. 20 marca do wybuchu zamieszek wystarczyła sprzeczka pary buddystów z muzułmańskim jubilerem. Okazuje się, że w realu buddyści bywają bardziej agresywni niż wyznawcy religii, która zrodziła dżihad.

Made in osiedle

© 123 RF

Holenderski rząd, wzorem brytyjskiego i duńskiego, wzywa sprzedawców, by znakowali produkty pochodzące z izraelskich osiedli na Zachodnim Brzegu, Wschodniej Jerozolimy i ze Wzgórz Golan. Wino, miód, jajka, mięso, warzywa, owoce czy kosmetyki, zgodnie z rozporządzeniem ministra gospodarki, mają być odpowiednio oznaczone, a nie – tak jak do tej pory – jako produkty „made in Israel". W Danii i w Wielkiej Brytanii zaleca się, by na etykietach dodawać informację o dokładnym pochodzeniu towaru: „produkt z izraelskiego osiedla" lub „produkt palestyński". Także holenderski szef dyplomacji Frans Timmermans uważa, że obywatele powinni mieć możliwość świadomego wyboru, chociaż rząd nie zamierza wprowadzać żadnego zakazu sprzedaży.

Szacuje się, że na unijne półki sklepowe trafiają co roku produkty z osiedli o wartości 230 mln euro (15 razy więcej niż wartość eksportu palestyńskiego). A w praktyce część eksporterów z osiedli nie płaci ceł, bo wystarczy, że formalnie firma zarejestrowana jest np. w Tel Awiwie (w UE kraj pochodzenia sprawdza się po kodach pocztowych). Teraz to się może zmienić, czego obawia się Izrael, tym bardziej że rosnąca grupa Izraelczyków nie chce kupować towarów z osiedli.

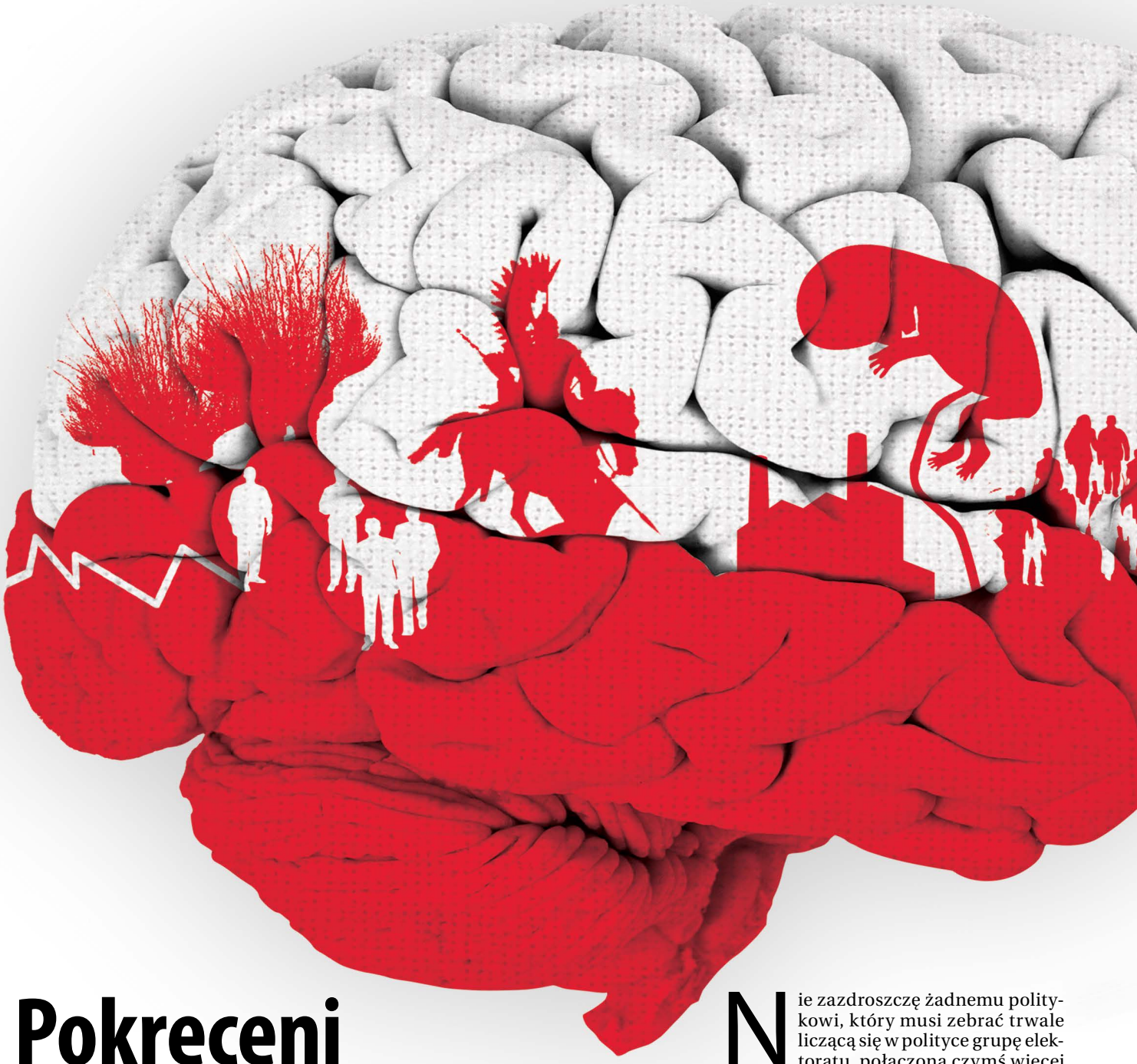

© MAREK SOBCZAK

Pokręceni

„Jak można rządzić krajem, w którym jest 246 gatunków sera?" – pytał rozżalony na Francję gen. Charles de Gaulle. A jak rządzić krajem, w którym jest 20 mln prywatnych ideologii i 20 mln prywatnych religii?

Jacek Żakowski

Nie zazdroszczę żadnemu politykowi, który musi zebrać trwale liczącą się w polityce grupę elektoratu, połączoną czymś więcej niż jakaś jedna kwestia. Żadnej takiej grupy już nie ma i jej coraz bardziej nie będzie. Nie ma ważącej politycznie grupy, która chce zrobić A, B, C, D, E i F. Można pewnie znaleźć większość popierającą A. I może nawet F. Ale wspólność tych zbiorów jest słaba i niejasna.

W najbardziej (obok Malty) katolickim kraju Europy najlepiej widać to na przykładzie seksu i innych obyczajów. Za katolików uważa się jakieś 90 proc. obywateli RP. A jednocześnie ok. 70 proc. popiera in vitro, 60 proc. jest za legalną eutanazją, prawie połowa za legalną aborcją, ponad 60 proc. akceptuje wspólne mieszkanie (i seks) bez ślubu, ponad połowa deklaruje, że homoseksualnego partnera własnego dziecka traktowaliby tak samo jak partnera heteroseksualnego, prawie 80 proc. deklaruje użycie prezerwatyw. W tych (i wielu innych)

sprawach większość wiernych ma pogląd przeciwny niż ich Kościół.

Jeszcze bardziej poruszający jest rozziew między wiarą wiernych i wiarą Kościoła w sprawach czysto teologicznych. Nawet wśród osób co niedziela uczestniczących w mszach 15 proc. nie wierzy w Sąd Ostateczny, 22 proc. w zmartwychwstanie, 23 proc. w cuda i życie pozagrobowe. W życie pozagrobowe – fundament eshatologicznej narracji Kościoła – wierzy zaledwie 80 proc. osób określających się jako głęboko wierzący katolicy. Ale apostazje można policzyć na palcach.

Polacy mogą się z Kościołem nie zgadzać, ale nie występują. Kościelne nauczanie traktują pragmatycznie. Polak jest życiowy. W zdecydowanej większości nie upiera się przy żadnej doktrynie. Kiedyś, należąc do PZPR, w tajemnicy posyłał dzieci na religię. Dziś chodzi do Kościoła i rodzi pozamałżeńskie dzieci (w Warszawie czy Wałbrzychu jest ich większość), głosuje na SLD i jest przeciw gejowskim małżeństwom (87 proc.) albo na PiS i jest za antykoncepcją (54 proc.).

Gdyby nie pamięć o ministrantach z partyjnych i milicyjnych rodzin, można by powiedzieć, że jesteśmy ultraponowocześni. Bo na przykład zwalczane przez Kościół metody antykoncepcji są w katolickiej Polsce bardziej popularne niż w średnio zlaicyzowanej, bezbożnej Europie. Ale nie tylko my jesteśmy tak pokręceni. Czasy są pokręcone. Żeby to pokręcenie oddać czytelną metaforą, Zygmunt Bauman opisał kulturę współczesnej „płynnej nowoczesności" jako supermarket. Metafora Baumana pasuje do całej sfery wartości, idei, tożsamości, postaw, obyczajów, przekonań, tradycji, poglądów. Człowiek Zachodu (a więc także Polski) chodzi po tym supermarkecie i wrzuca sobie do wózka, co mu w oko wpadnie albo co mu przypadnie do gustu.

Leszek Miller wrzucił kiedyś np. neoliberalną ideę premiującego bogatych podatku liniowego do lewicowego programu SLD, upominającego się o biedaków żywiących się na śmietnikach. Jarosław Kaczyński, hucznie zwalczający pasożytujących na państwie polskich oligarchów, utrwalił ich fortuny, znosząc podatek od spadków i darowizn. PO wciąż mówi o europeizacji i modernizacji, ale na myśli ma tylko europejskie pieniądze i zalewanie Polski europejskim betonem, a nie modernizację kultury, europejski model społeczny i europejską ideę zrównoważonego rozwoju, które od dziesiątek lat są motorami rozwoju Europy.

W supermarkecie idei wszystko jest na sztuki, na części i na chwilę. Krok dalej niż w Ikei. Nikt tu nie dostarcza instrukcji składania i nie ma żadnych gwarancji, poza tą, że w każdej chwili możemy każdy towar odstawić na półkę. Jak Miller odstawił podatek liniowy. Jak Kaczyński odstawił ideę rozliczenia „złodziejskich prywatyzacji".

Nie ma już uniwersalnych projektów. Każdy może sobie tak dobierać części i kawałki, żeby powstało coś podobnego jak na podwórku sąsiada albo jak w domu rodziców czy dziadków. Ale to nie jest konieczne ani nawet łatwe.

Z zewnątrz wygląda to jak ekstatyczna wolność. Od wewnątrz raczej jak przygniatająca samotność. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu na pytanie, „kto ty jesteś?", mówiliśmy: „Polak mały". I wszystko było jasne. Nie tak dawno Moliera (i Boya-Żeleńskiego) śmieszyło do łez przemienienie mieszczanina w szlachcica. A co to by dziś była za różnica? Dziś każdy komponuje i rekomponuje sam siebie, jak umie. Czasem z komicznym, a czasem z dramatycznym skutkiem.

Samotność jest głównym uczuciem komponującego siebie konsumenta wobec sklepowego regału idei ▶

REKLAMA

DOLINA CHARLOTTY
Resort & SPA

Odchudzanie
i odpoczynek to
doskonałe połączenie!

Nowoczesne odchudzanie w wyjątkowej atmosferze Doliny Charlotty, to zdrowa droga do szczupłej sylwetki.
Zmiana już kilku elementów stylu życia i odpowiednio zaprojektowany plan żywienia spowoduje, że odniesiesz sukces.
Nasze wczasy odchudzające realizowane będą pod okiem dietetyka, trenera i lekarza.
To może być ważny początek twojej metamorfozy.

Oferujemy ci specjalnie skomponowaną dietę, zestaw zajęć ruchowych, zabiegi kosmetyczne, konsultacje z dietetykiem i lekarzem oraz niezbędną wiedzę przekazaną podczas wykładów ze specjalistami.

Otrzymasz od nas również wskazówki, które pomogą ci chudnąć lub utrzymać wypracowany efekt po powrocie do domu.

U nas odchudzanie
to przyjemność!

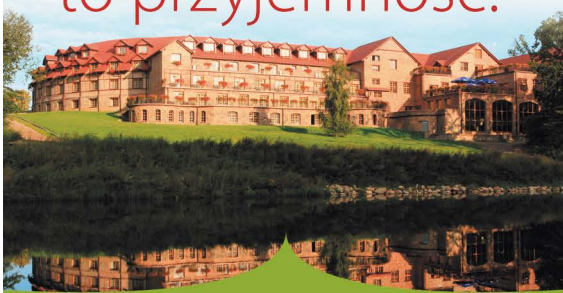

Dolina Charlotty Resort & SPA
Strzelinko koło Ustki
kontakt: +48 59 847 43 41, +48 59 847 43 00,
hotel@charlotta.pl
www.dolinacharlotty.pl

▶ przypominającego żłób, przed którym padł osioł hrabiego Fredry („osiołkowi w żłoby dano/w jeden owies, w drugi siano…"). Bo codzienna tortura supermarketu, działającego wedle reguły 24/7/365, za główne narzędzie ma kakofonię pokus. Jak w supermarkecie spożywczym każde pudełko i słoik, tak w supermarkecie idei każda myśl i opinia jest dla nas tym, czym były syreny dla Odyseusza. Nie mamy czasu ani cierpliwości, żeby się tym syrenom przyglądać, nim im ulegniemy. Zwłaszcza w Polsce, gdzie czytanie i wiedza raczej nie są w cenie. Duża część polskiej prawicy, chcąc odpartyjnić i udrożnić system polityczny, uległa np. syrenim śpiewom JOW (jednomandatowych okręgów wyborczych). Chociaż wiedza wskazuje, że JOW wzmacniają partyjne oligarchie i lokalne mafie. Rzecz w tym, że w supermarkecie idei od wiedzy ważniejsze są wrażenia. Miłe opakowanie więcej znaczy niż umieszczona na nim małymi literkami informacja o tym, co w środku. Wszystkie syreny śpiewają to samo. Chodź do mnie. Tylko ja mam i dam to, czego ci trzeba.

Wystarczy odrobina rozumu, by wiedzieć, że to nieprawda. Ale trzeba się łudzić, by przeżyć. Coś trzeba odpowiedzieć, gdy nas pytają, czy jest pan/pani „za" czy „przeciw". A nawet jeżeli dla innych „nie mamy zdania", dla siebie musimy je mieć. Musimy coś robić. To wymaga obrazu rzeczywistości. Człowiek jest tak zrobiony, że musi dokądś zmierzać. Nawet jeśli wie, że miejsce, do którego zmierza, nie istnieje. Więc bierze z półki cokolwiek, kierując się bezrefleksyjnym impulsem, i dokłada do swojego koszyka.

> Od konieczności dokonywania ostrego wyboru (ta partia, ten kandydat, „tak" lub „nie") współczesnym realiom lepiej by odpowiadało przyznanie wyborcom prawa do dzielenia głosu. Na przykład 60 proc. na PO, 20 proc. na SLD i 20 proc. na RP.

Można ulec złudzeniu, że ludzie wolnego świata zawsze stali przed megaregałami idei, odwiecznie ucieleśnianymi przez biblioteczne półki z książkami. Ale to nieprawda. Świat nigdy wcześniej nie był supermarketem. Do niedawna był raczej jak szkoła albo koszary. Bauman ma na to przejście dobrą metaforę. „Na miejsce kolumn marszowych nadciągają rojowiska" – pisze. Już nawet nie roje, ale rojowiska, mentalnie nieustrukturyzowane, chaotyczne, pozbawione królowych i przypisanych ról.

Kolumny marszowe były formowane przez stabilne społeczeństwa klasowe i stanowe. Oto idzie klasa robotnicza. Oto nadchodzi chłopstwo małorolne. Przed nim panowie szlachta. A tam kupcy, fabrykanci oraz finansiści. I inteligencja. Każda kolumna miała swoje miejsce w stratyfikacji dochodów, wykształcenia, prestiżu, władzy, w tworzeniu i krążeniu wartości symbolicznych oraz materialnych. Każda wiedziała, co jej przystoi, co do niej należy i co jej się należy.

W epoce kolumn marszowych nieliczne elity decydowały o tym, co ludzie mieli w głowach i kieszeniach. Przez ambonę, szkołę, media kontrolowały idee. Mogły się spierać, walczyć i mordować, ale tworzyły i prezentowały spójne obrazy świata, jego objaśnienia, programy naprawy. Czyli religie i ideologie, którym odpowiadały z grubsza wielkie polityczne formacje – chadecy, endecy, faszyści, konserwatyści, ludowcy, liberałowie, socjaliści, komuniści. Każda z tych formacji miała swoją spójną wizję przeszłości i przyszłości, interesy, które reprezentowała, grupy społeczne, w których się zakorzeniała. Wielkie grupy o jasnej tożsamości, silnej spójności i wyraźnym poczuciu obcości wobec innych grup. Dysydenci, jeśli nie płonęli na stosach, byli separowani.

Aż wreszcie kulturowa oraz technologiczna rewolucja lat 60. sprawiła, że świat wyrwał się spod kontroli elit. Te same cywilizacyjne siły, które oddały rynkowi sfery materialne i relacje społeczne, zniosły elitarne monopole idei i stworzyły dla nich wolny rynek. Kolejno padały uniwersytety jako fabryki „prawdy", czyli kwalifikowanej wiedzy, media jako jej nośniki i wyznaczniki kulturowych standardów, wydawnictwa jako gwaranci intelektualnej spójności i jakości książek. Aż przyszła epoka Internetu, w której brednie i mądrości, fakty i rojenia, jakość i bylejakość trafiły do jednego worka. A ludzie stali się jak sierotki, które z tego worka coś sobie z zawiązanymi oczami wyciągają i pakują do głowy. Tak powstają miliony Frankensteinów idei.

Wolny rynek nie tworzy (jak św. Tomasz czy Marks) spójnych, kompletnych konstruktów. Nie jest zainteresowany, by idee pasowały do rzeczywistości ani by były spójne. Rynek chce tylko, by znalazły nabywców. Tu, teraz, masowo. To burzy hierarchie elitarnie namaszczanych autorytetów, a w ich miejsce na półkach supermarketu ustawia rozmaitych guru. Każdy może sobie do koszyka wrzucić takiego guru, jaki mu się akurat podoba.

Guru nie musi mieć racji. Musi tylko mieć branie. O jego pozycji decyduje nie trafność poglądów, lecz popyt rojowiska. Po roku nikt nie będzie pamiętał, co jego guru mówił. W szumie rojowiska weryfikacja się nie dokonuje. Autorytet by upadł, gdyby się zasadniczo pomylił. Guru może się znudzić, ale nie upadnie tylko z tego powodu, że się myli. Rojowisko nie ma zbiorowej pamięci, którą miały uniwersytety, media i tradycyjne hierarchie autorytetów. Kryzys to doskonale pokazał. Ekonomiczni guru, którzy jeszcze w 2009 i 2010 r. uparcie i głośno powtarzali, że kryzysu nie ma i nie będzie, wciąż są z uwagą słuchani i traktowani poważnie. Podobnie jak ci, którzy przekonywali, że przyjęcie euro jest jak złapanie Pana Boga za nogi albo że w Smoleńsku puszczono sztuczną mgłę. W rojowisku liczy się wrażenie i zdolność przebicia się przez szum. Nie mają specjalnego znaczenia racje, wiedza, spójność, trwałość i trafność poglądów.

W świecie kolumn marszowych taka zbiorowa lekkomyślność byłaby surowo ukarana. W świecie rojowisk nie. Bo rojowisko się nie przywiązuje. Raczej więc nie trwa w błędzie. Nakłada sobie do koszyka, co mu się akurat podoba, a co mu się przestaje podobać, wyrzuca. Pod wpływem kryzysu nie tylko guru zmienili np. stosunek do euro. Rojowisko, które o zmianie waluty myślało z entuzjazmem, dziś myśli z największym sceptycyzmem. Podobnie jak sceptycyzm zastąpił przekonanie, że Polską rządzi układ agentów i oficerów. Ale za rok lub pięć lat entuzjazm może wrócić. Podobnie w sprawie OFE, wojny w Iraku, globalizacji.

Zresztą o tym, co myśli rojowisko, mało wiemy. Wiemy, jak odpowiada na proste pytania. Na przykład „czy jesteś za związkami partnerskimi: tak – nie – nie mam zdania". Ale jak bardzo „tak" lub „nie", już zwykle nie wiemy. Możemy obserwować zmienne kierunki lotu, ale nie wiadomo, na ile są trwałe. Bo rojowisko się zanadto nie zagłębia. Starczy, że pojawi się nowy guru albo podmuch historii, żeby pomyślało inaczej i poleciało gdzie indziej. Niekoniecznie w przeciwną stronę. Kolumny marszowe nacierały lub się wycofywały. Od prawicy zwracały się ku

lewicy i nazad. Metaforą ich ruchów było wahadło zegara. A rojowisko lata tu i ówdzie. Razem ze swoimi guru.

Poglądy rojowiska z natury są synkretyczne. Z jednej religii biorą to, a z drugiej tamto. Z jednej ideologii to, a z drugiej owo. Dylemat Leszka Kołakowskiego, „jak być konserwatywno-liberalnym socjalistą", rojowisko rozwiązuje tak jak Aleksander Macedoński rozwiązał węzeł gordyjski. Jednym cięciem, czyli pytaniem, które jest odpowiedzią: „po co się tym kłopotać". Żadna spójność poglądów, idei, celów go nie ogranicza. Nikt jej nie sprawdza i nie weryfikuje. Rojowisko może jednocześnie narzekać, że służba zdrowia zbyt dużo kosztuje i że ma za mało pieniędzy. Może się domagać budowy lepszych dróg i odmawiać dawania na to pieniędzy. Może wybierać głupich polityków, narzekać, że są głupi, i znów ich wybierać.

Dla politycznych przywódców zastąpienie kolumn przez rojowiska stanowi fundamentalne wyzwanie. Klasyczne przywództwo polegało na nadawaniu kierunku maszerującej kolumnie i wskazywaniu celów. Przywódca jechał na czele kolumny. Na czele rojowiska nie daje się stanąć. Bo rojowisko żadnego czoła nie ma. Janusz Palikot zginął politycznie właśnie z tego powodu, że wydawało mu się, iż stoi na czele kolumny, a był wewnątrz rojowiska. Wirującego, neurotycznego, niezdyscyplinowanego. Zapomniał o kluczowej radzie Baumana: „ktokolwiek chciałby utrzymać rój pszczół na pożądanym szlaku, winien się zająć kwiatami na łące, a nie musztrowaniem każdej pszczoły z osobna".

Tam gdzie kończy się epoka przemysłowa i społeczeństwa zbudowane z ustawionych w kolumny klonów (plutokraty, arystokraty, robotnika, urzędnika, chłopa), a pojawia się płynna nowoczesność, w której każdy człowiek musi sam siebie – świadomie lub mimowolnie – wyposażyć w indywidualną tożsamość, przywódca siłą rzeczy raczej serfuje na tworzonych przez rojowisko falach lub wabi je rozmaitymi kwiatkami, niż jakoś nim steruje. To jest nowa sztuka. Nigdy wcześniej niepraktykowana w zarządzaniu państwami. Wszyscy się w tym gubią. Ale nie wszyscy gubią się tak samo.

Nasz problem polega na tym, że polskie rojowiska unoszą się nad pustynią. W starych demokracjach północy społeczne terytoria porasta gęstwina ideologicznych, tożsamościowych tradycji, wyposażonych w bezlik strzegących ich okrzepłych, bogatych instytucji, od wielkich uniwersytetów, przez potężne think tanki, po poważne media. Rojowiska wirują, kędy chcą, ale pod nimi trwają rezerwuary klasycznych idei, dbające o to, by myśli w miarę możliwości przystawały do siebie i rzeczywistości. Można z nich nie korzystać, ale w razie potrzeby jest się do czego odwołać. Rojowiska unoszą się wokół swoich rezerwuarów rozsądku jak gołębie wokół gołębnika. W Polsce i w innych młodych demokracjach z gołębnikami jest kiepsko.

Na zmiany cywilizacyjne raczej się nie poradzi. Ale jeśli chcemy, by polskie myślenie o rzeczywistości, debaty i rządzenie zbliżyły się do realiów, powinniśmy zająć się tworzeniem gołębników. Kilka lat temu PO chciała zmusić partie do finansowania think tanków i zająć się poważnie mediami publicznymi. Nic z tego nie wyszło. Rojowisko się do pomysłów nie przywiązuje, bo do niczego się nie przywiązuje, ani nie premiuje polityków za sensowne działanie.

Inną odpowiedź na rzeczywistość rojowisk proponował kilka lat temu prof. Radosław Markowski w swoim pomyśle na zmianę prawa wyborczego. Skoro ludzie nie są w stanie wyrobić sobie zdania („chcę tego") i przeważnie mają już tylko preferencje („wolę to niż tamto"), to od konieczności dokonywania ostrego wyboru (ta partia, ten kandydat, „tak" lub „nie") współczesnym realiom lepiej by odpowiadało przyznanie wyborcom prawa do dzielenia głosu. Na przykład 60 proc. na PO, 20 proc. na SLD i 20 proc. na RP. Takie głosowanie oddawałoby prawdziwe sentymenty wyborców. Jeszcze bardziej pomocne byłoby stosowanie takiego mechanizmu w sondażach i referendach. W referendum dotyczącym euro trudno by mi było zdecydować, czy jestem za czy przeciw. Mój głos bliższy by był sentymentowi, gdybym dał 60 na „tak" i 40 na „nie" lub na odwrót.

Rzeczywistość rojowisk to nie jest koniec świata. Ale jest to koniec świata, do jakiego dostosowane są nasze zwyczaje i instytucje (partie, parlamentaryzm itp.). W tym sensie jest to raczej wyzwanie dla adaptacyjnych zdolności Zachodu niż wyrok na kogokolwiek. Wyrok wisi jednak w powietrzu. Postdarwinowska maksyma mówi: „dostosuj się lub zgiń". Pierwsze rozwiązanie jest lepsze. I możliwe, skoro już wiemy, co się tu wyrabia.

Jacek Żakowski

REKLAMA

Relaks w prezencie

SITA.pl Technika dla języka

Nagroda **Fotel Lidera** 2011, 2010, 2009
Nagroda **Wiktoria** 2012, 2011, 2010
Nagroda **Wiktoria** 2009
Europejski Certyfikat Bezpieczeństwa 2012
Certyfikat **Europejska Gwarancja Najwyższej Jakości** 2012
Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski za wkład w upowszechnianie wiedzy
Jakość Roku 2010
Jakość Roku Złoto 2011
Nagroda **IV Targów Szkół Językowych**
Nagroda **IV Międzynarodowych Targów Edukacyjnych**
Podziękowanie **Polskiego Komitetu Olimpijskiego** za wsparcie Polskich Olimpijczyków

ANGIELSKI ENGLISH
NIEMIECKI DEUTSCH
FRANCUSKI FRANÇAIS
HISZPAŃSKI ESPAÑOL
WŁOSKI ITALIANO

Wykorzystaj odkrycia naukowe prof. Roberta Wallace'a, prof. Rainera Dietericha i laureata nagrody Nobla prof. Rogera Sperry w nauce języków.

Urządzenie SITA Pomaga osiągnąć i utrzymać stan relaksu – optymalny do nauki języka (997 zł).

Kursy językowe SITA Specjalnie przygotowane podręczniki i nagrania gwarantują najlepsze efekty (279 zł jedna część kursu).

SITA Sp. z o.o., Salon Sprzedaży ul. Bellottiego 3, 01-022 Warszawa

Oferta na urządzenie + cztery kursy **Oszczędzisz 300 zł**

KUP NA WWW LUB TELEFONICZNIE
www.sita.pl
22 636 90 91

„Super Size Me”

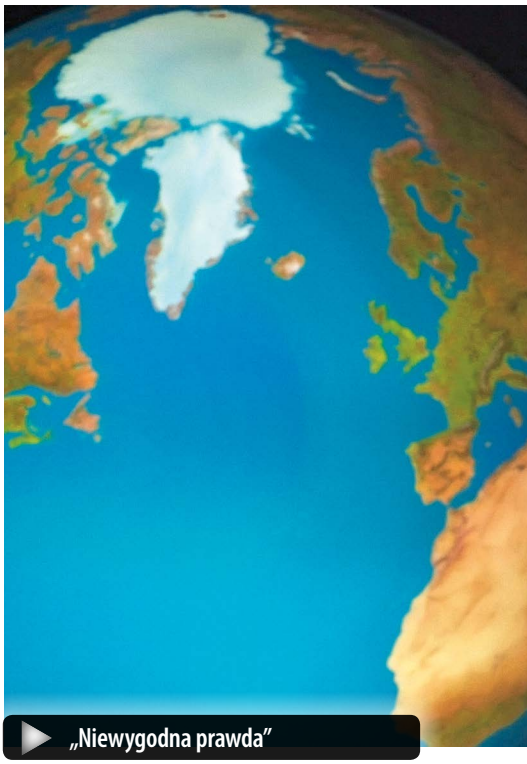

„Niewygodna prawda”

Prawie jak dokument

Filmy dokumentalne, cieszące się dużym zainteresowaniem widzów, wydają się kwintesencją obiektywnego dziennikarstwa. Niestety, niektóre są wyłącznie manipulacją.

Marcin Rotkiewicz

Pokazywać? Nie pokazywać? Po wielu tygodniach dyskusji i rozterek Telewizja Polska w końcu postanowiła wyświetlić dwa głośne filmy poświęcone katastrofie prezydenckiego Tu-154. Wieczorem 8 kwietnia czeka nas prawdziwy smoleński maraton. Najpierw będzie można zobaczyć „Katastrofę w przestworzach – śmierć prezydenta” nakręconą na zlecenie kanału telewizyjnego National Geographic. A zaraz po niej „Anatomię upadku” wyprodukowaną przez Niezależne Wydawnictwo Polskie, czyli właściciela związanej z PiS „Gazety Polskiej”. Na koniec w studiu ma się odbyć dyskusja ekspertów i publicystów.

Gargas za Moore’em

Zarówno „Śmierć prezydenta”, jak i „Anatomia upadku” określane są jako filmy dokumentalne. Tyle że poza nazwą gatunkową i tematem obydwu produkcji nie łączy zbyt wiele. Ta pierwsza to kolejny odcinek cenionego serialu „Katastrofa w przestworzach”, prezentującego w dokumentalno-fabularyzowanej formie przebieg najbardziej znanych tragedii lotniczych. Jego autorzy opierają się przede wszystkim na materiałach komisji państwowych badających przebieg katastrof. Tak też było w przypadku „Śmierci prezydenta” bazującej na raportach komisji rosyjskiej i polskiej. „Anatomia upadku” jest zaś dziełem dziennikarki „Gazety Polskiej” Anity Gargas, od wielu lat niekryjącej swoich poglądów politycznych. Dlatego pisząc o jej filmie, słowo dokument należałoby brać w cudzysłów, bo mamy do czynienia z materiałem tendencyjnym, na siłę uzasadniającym tezę o zamachu na samolot wiozący prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Warto przy tej okazji zwrócić uwagę na bardzo ciekawe i rozpowszechnione ostatnio zjawisko wykorzystywania formuły filmów dokumentalnych w celach propagandowych. „Anatomia upadku” doskonale je ilustruje. Tego typu produkcje oddziałują bowiem na opinię publiczną wyjątkowo silnie, przede wszystkim dzięki swojej naoczności i pozornej obiektywności. Bo nawet jedno dobre, czyli dramatyczne, ujęcie kamery potrafi na długo wryć się w pamięć widzów, stając się – jak to się dziś określa – zarażającym umysły memem.

To nic nowego pod słońcem – zauważy ktoś. Walory filmów dokumentalnych doceniali przecież zarówno propagandyści faszystowscy (pamiętne dzieła Leni Riefenstahl z „Triumfem woli” z 1934 r. na czele) i komunistyczni (np. polskie kroniki filmowe), a pierwsze Oscary w kategorii film dokumentalny zaczęto przyznawać już na początku lat 40. XX w. Jednak to w ostatnich dekadach dokument cieszy się szczególnym powodzeniem (zapewne również dzięki postępowi technicznemu, bo dziś można go nakręcić nawet dobrym smartfonem), czego wyrazem są liczne festiwale tego typu produkcji. I dlatego przyciąga mnóstwo zaangażowanych w różne sprawy osób, chcących zarazić globalną opinię publiczną swoimi przekonaniami ubranymi w dokumentalno-reportażową formę.

Sztandarowym przykładem tego typu produkcji stały się filmy Michaela Moore’a – reżysera mocno opowiadającego się po stronie amerykańskiej lewicy i kręcącego bardzo sprawnie zrealizowane „dokumenty” (m.in. „Fahrenheit 9/11”), ocie-

„David versus Monsanto"

© MARY EVANS PICTURE LIBRARY/EAST NEWS, PARAMOUNT/EVERETT COLLECTION/EAST NEWS, M.P.

rające się o teorie spiskowe oraz niemające wiele wspólnego z dociekliwym i krytycznym dziennikarstwem.

Ogień z kranu i ruletka

Moore działa jednak przede wszystkim w sferze polityki. Tymczasem widzowie rzadko zdają sobie sprawę, że niektórzy dokumentaliści manipulują nimi, poruszając tematy od spraw politycznych odległe (przynajmniej na pierwszy rzut oka), bo dotyczące nauki, techniki czy ekologii. A robią to wyjątkowo skutecznie, gdyż na długo potrafią zawładnąć opinią publiczną i odpowiednio nastawić ją do jakiejś sprawy. Na dodatek takie produkcje są obsypywane nagrodami na licznych festiwalach, bo jurorzy oceniają przede wszystkim sprawność warsztatową, siłę przekazu, nośność podjętego tematu, ale nie mają specjalistycznej wiedzy ani czasu, by sprawdzić rzetelność prezentowanego materiału.

Sztandarowym tego przykładem jest film „GasLand" z 2010 r. (w Polsce znany pod tytułem „Kraj gazem płynący"), nominowany do Oscara i obsypany innymi nagrodami (m.in. Emmy, czyli telewizyjnym Oscarem). Dokument ten nakręcił Josh Fox, amerykański reżyser i aktywista ekologiczny, któremu bardzo nie podoba się technologia wydobycia gazu łupkowego („Łupkowe science fiction", POLITYKA 10). Dlatego nie próbuje nawet ważyć racji. Nieprawdziwych informacji i manipulacji jest w tym dokumencie mnóstwo, ale jedna scena szczególnie mocno wbija się w pamięć.

Oto mieszkaniec domu położonego blisko miejsca wydobycia gazu łupkowego odkręca kran z wodą i… podpala ją zapalniczką. W górę bucha płomień. Według Foxa, ma to być koronny dowód, że gaz z łupków na skutek odwiertów przedostaje się do wód gruntowych, a z nimi do kuchni czy łazienek, stwarzając poważne zagrożenie. Tymczasem ów płonący gaz to metan pochodzący z płytszych warstw ziemi (co można stwierdzić) i nie ma nic wspólnego z pracami firm wydobywczych. A zjawisko płonącej wody znane jest od dawna, również w Polsce. Ale o tym widzowie „GasLandu" nie mają szans się dowiedzieć.

Nagrodę Emmy otrzymał także inny, znacznie starszy (1982 r.) film dokumentalny „Vaccine Roulette" („Szczepionkowa ruletka"). Zdaniem prof. Paula Offita, wybitnego pediatry, immunologa i wakcynologa z University of Pennsylvania, to właśnie ten film zapoczątkował kolejną, trwającą do dziś falę antyszczepionkowej histerii wśród rodziców małych dzieci. Zrealizowała go dla telewizji NBC reporterka Lea Thompson. Bohaterką materiału jest szczepionka Di-Per-Te przeciwko trzem chorobom: błonicy, krztuścowi i tężcowi. Ze względu na obecność w niej całych (ale zabitych) bakterii wywołujących krztusiec, preparat ten stosunkowo często powoduje tzw. niepożądane odczyny poszczepienne: wysoką gorączkę, drgawki, wymioty czy długotrwały płacz dziecka.

Lea Thompson oskarżyła jednak Di-Per-Te o coś znacznie poważniejszego – powodowanie ciężkich uszkodzeń neurologicznych. Na widzów filmu szczególnie silnie działały obrazy rodziców opowiadających o tym, jak okropnie chorowały ich dzieci po zaszczepieniu. Oraz sekwencje, w których płaczące maluchy, trzymane w ramionach przerażonych rodziców, otrzymują zastrzyki. A wszystko to okraszone informacjami, że „medyczny establishment" na siłę promuje niebezpieczną szczepionkę, która tak naprawdę nie jest potrzebna. Wiele tego typu stwierdzeń wygłasza w filmie kilkoro zaproszonych przez Thompson rzekomych specjalistów, natomiast widzowie nie mają szans usłyszeć z ust prawdziwych fachowców tego, co pokazują wyniki licznych badań – że niepożądane reakcje dość szybko ustępują i nie ma odnotowanego ani jednego (!) przypadku, by szczepionka spowodowała uszkodzenia neurologiczne. Nie mogą również zobaczyć, jak fatalne następstwa przynosi krztusiec, tężec czy błonica.

Czarnobyl i zabójczy Big Mac

Wstrząsające obrazy dzieci posłużyły również do straszenia widzów energetyką jądrową. W 1998 r. Telewizja Polska wyemitowała brytyjski film dokumentalny „Igor – dziecko Czarnobyla". Jego bohaterem jest chłopiec z Białorusi, który urodził się dwa lata po katastrofie ze zdeformowanymi kończynami. Według autorów dokumentu, takich dzieci z różnymi wadami rozwojowymi (również mózgu) przyszło na świat w ZSRR milion, a odpowiada za to skażenie promieniotwórcze. Widzowie filmu usłyszeli także, że promieniowanie w Czarnobylu było ▶